Macierz Polska.

TYGODNIK POWIEŚCIOWO-ILLUSTROWANY.

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

No. 2. Chicago, Ill., Czwartek, 10-go Stycznia, 1907. Rok VIII.

BABUSIA I CIOCIA.

Historya Kościoła w obrazach.

(Ciąg dalszy.)

W tym to mieście nieograniczonej w jednym względzie swobody, ucisku i tyranii w drugim ujrzało światło dzienne św. Agnieszka.

Rodzice jej pochodzili z bardzo starożytnej i szlachetnej rzymskiej rodziny...

Św. Agnieszka była szczególnej piękności dziecięciem. Jak świadczą jej współczesni, raczej podobną była do lilii, która wyrosłą na niwie Chrystusowej, niż do dziecka.

Ubierała się zawsze czysto i nader skromnie. Żadnych błyskotek nie wieszała na sobie, jak to zwykło czynić wiele panienek. W rychłej już swej młodości Agnieszka wiedziała o tem, że nie strój zdobi dziewicę i panienkę chrześcijańską, ale szlachetność jej duszy i serca; nie drogie kamienie i świecidełka dodają panience blasku piękności, ale jedynie cnoty chrześcijańskie, z których skromność i niewinność jest prawdziwem klejnotem i skarbem panienki. Wiedziała o tem Agnieszka i dlatego nie przywdziewała na siebie nigdy bogatych strojów ani drogich kamieni, choć czynić to mogła, ponieważ miała bogatych rodziców. Za to odznaczała się anielską czystością duszy i niewinnością serca, które przebijały się w całej jej postaci. Szczególniej twarzyczka młodej panienki była wyrazem całej niewinności i prostoty dziecinnej obok wielkiej nad wiek powagi i inteligencyi. Oczy zdawały się zawsze być utkwione w jakiś przedmiot, które go nikt nie mógł ani widzieć, ani odgadnąć. Miły uśmiech opromieniał, jakby aureolą, piękną twarzyczkę panienki. Ci, którzy znali św. Agnieszkę, twierdzą, że nigdy nie myślała o sobie, lecz o tem, aby mogła oddać jakąś usługę otaczającym ją i przez to spodobać się Panu Jezusowi. Przy takiem usposobieniu, jasną jest rzeczą, że Agnieszkę, poczynając od rodziców a kończąc na ostatnim niewolniku ze służby domowej, wszyscy musieli bardzo kochać. Matka nie miała z nią najmniejszego kłopotu: posłuszna, łagodna zawsze chętnie spełniała rozkazy matki. Z ust Agnieszki nie słyszano słów "nie zrobię, nie chce mi się", które bardzo często można słyszeć od dzieci nieposłusznych, którym się zdaje, że łaskę a nie obowiązek robią, gdy spełniają rozkazy swoich rodziców. Taka myśl nie powstała nigdy w głowie Agnieszki, bo posłuszeństwo rodzicom w rzeczach dobrych uważała za święty swój obowiązek. To też chyba żadna matka nie kochała swojej córki tak, jak to czyniła matka Agnieszki. Niemniej lubianą ona była przez służbę domową, niewolników, dla których była bardzo dobrą.

Była też bardzo pobożną. W krótkim jej życiu nie zdarzyło się ani razu, aby opuściła pacierz poranny, lub wieczorny. Na modlitwie zachowywała się z największą pobożnością i skupieniem ducha. Twarzyczka jej wtenczas jeszcze więcej jaśniała jakimś nadziemskiem weselem i szczęściem, co ją czyniło podobną do anioła, który zszedł z nieba i przybrał postać dziecka. Wszyscy, patrzący na modlącą się panienkę, lubowali się jej pobożnością. Sama, skoro tylko przyszła do używania rozumu i mogła rozeznać co jest dobre, a co złe, dobrowolnie, z gorącej miłości ku Panu Jezusowi, ślubowała mu dozgonną czystość i niewinność całej swojej istoty.

Rodzice jej, którzy już byli poznali prawdziwą wiarę Chrystusową, z największą troskliwością, obchodzili się ze swoim skarbem. Strzegli jej jak źrenicy oka przed zepsuciem ówczesnego świata pogańskiego i przed niebezpieczeństwem, na które wystawieni byli w tych czasach chrześcianie.

W tym czasie nad państwem rzymskiem panował cesarz Dyoklecyan. Za rządów tego cesarza chrześcijanie przez długi dosyć czas, bo prawie przez lat czterdzieści, cieszyli się spokojem, ponieważ początkowo Dyoklecyan (od r. 284) kierując się rozumem i ludzkością nie myślał o ich prześladowaniu. Doszło nawet do tego, że mianowano chrześcijan namiestnikami prowincyi państwa rzymskiego, a znaczna ich liczba przebywała na dworze cesarskim, zajmując nawet najwyższe urzęda. W niektórych miejscowościach chrześcijanie powznosili wspaniałe kościoły i wiedli żywot dość spokojny. Sądzili, że już skończyły się krwawe prześladowania i nastał czas, w którym kościół spokojnie wzrastać i rozwijać się będzie. Nie przypuszczali, jak okropną niespodziankę kryje przyszłość. Nie wiedzieli, że ten cesarz początkowo tak łagodny i ludzki, wznieci nowe i największe prześladowanie, w którem wytoczy potoki krwi chrześcijan, tysiące pozbawi życia w najokrutniejszy sposób.

Dyoklecyan nie czując się dosyć silnym, aby rządzić tak obszernem państwem, w roku 285 przybrał sobie jako pomocnika niejakiego Maksymiana Herkuliusza, znanego z męstwa i odwagi. Tego w roku 285 obdarzył tytułem cesarza i powierzył mu w obronę zachodnią część państwa rzymskiego. W siedm lat później przybyło jeszcze dwóch więcej cezarów: Galeryusz Maksymian dla Iliryi i Konstancyusz Chlorus dla Hiszpanii. Dyoklecyan stał się głównym despotą i zamieszkał na wschodzie w mieście Nikomedyi. Uważał on, że podwaliną jego despotycznych rządów jest religia pogańska, która cesarza robiła bogiem, dlatego wszystkiemi siłami starał się ją podtrzymać, lecz nie używał jeszcze ku temu środków gwałtownych.

Za to zięć jego Galeryusz prześladował chrześcijan. Pobudzała go do tego jego matka Romula, która nienawidziła chrześcijan. Drugi rządzca Maksymin, jako prosty żołnierz, był pod wpływem Dyoklecyana i dlatego rzadko dopuszczał się okrucieństw nad chrześcijanami. Z czterech owych cezarów najszlachetniejszym był Kanstancyusz Chlorus. Cenił on cnotę i szlachetność i dlatego wszędzie okazywał przychylność chrześcijanom. W prowincyi pod jego zarządem zostającej, był spokój i chrześcijan nie prześladowano.

Prześladowania, jakie tu i owdzie były w państwie, nie przeszkadzały rozwojowi kościoła Chrystusowego; owszem, jednały nowych członków, często z samych prześladowców. Te liczne nawracania się pogan zwróciły wreszcie na siebie uwagę Dyoklecyana i wzbudziły w nim niepokój o tron. Dotąd opierał się podszeptom niecnego Galeryusza, aby wytępić wszystkich chrześcijan, lecz widząc wielki wzrost chrześcijaństwa, w mniemaniu że uratuje tron i państwo od zagłady, dał się namówić Geleryuszowi i innym wrogo usposobionym do chrześcijan.

Ks. F. Ładoń.

(Ciąg dalszy nastąpi).

CZEMU WSZYSCY LUBIĄ ZOSIĘ?

"Moja Julciu, co ci jest, żeś taka smutna i zamyślona?" zapytała matka dziesięcioletnią swą córeczkę, która tylko co wróciła ze szkoły.

„Nic, mamusiu, nie jestem chora. Ja tylko myślę, czemu to Zosię N. wszyscy lubią? Gdy wejdzie do klasy, wszystkie dziewczynki witają ją z radością; siostra najczęściej ją pochwali."

Matka spojrzała w oczy Julci i zapytała:

"Dlaczego o to zapytujesz, czy zazdrościsz Zosi, byłoby to bardzo brzydko".

"Nie mamo, ja nie zazdroszczę, bo sama ją bardzo kocham i siedzimy w jednej ławce, ale chciałabym tylko wiedzieć, dlaczego ją tak wszyscy kochają."

Na to odpowiedziała mama:

"Gdy będziesz jutro w szkole uważaj dobrze co robi Zosia, a potem to już sama sobie odpowiesz na własne pytanie.

Julcia posłuchała mamy i gdy tylko Zosia weszła do klasy na drugi dzień, patrzała na jej zachowanie. Najpierw zobaczyła, jak Zosia zdjęła swój płaszczyk, kapelusik i powiesiła na wieszadle. Inne koleżanki przychodząc do klasy także zdejmowały płaszcze i kapelusze, ale były tak nieuważne, że każda prawie z nich zrzuciła na ziemię coś z wiszących już ubrań. Jedna potrąciła kapelusz, który potoczył się aż pod ławki; druga zrzuciła płaszczyk, na który trzecia nastąpiła nogą, inna przeciskając się między dziewczętami i wiszącemi ubraniami u jednego z nich oberwała tasiemkę do zawieszania. Zosia, widząc to, cichutko pozbierała rzeczy i popowieszała na swoje miejsca.

Weszła potem do ławeczki i rozłożyła książki i zeszyty. W tem nadbiegła swawolna Ola i jednym zamachem ręki przewróciła kałamarz z atramentem, który poplamił zeszyty Zosi. Zosia i sąsiadki osłupiały na chwilę. Czerwony rumieniec okrył całą twarzyczkę poszkodowanej dziewczynki. Łzy zakręciły się w oczach jej, ale nie zrobiła ani słówka wymówki Oli, lecz wyjąwszy z zeszytu bibułę, ścierała spokojnie plamy i z zeszytów i z ławki.

Inne dziewczęta, widząc szkodę, z oburzeniem wołały na Olę:

"Postrzelona Olu, widzisz jaką szkodę wyrządziłaś Zosi! Ty nigdy nie możesz przejść spokojnie, lecz zawsze musisz coś zrobić. Zosiu, powiedz to Siostrze, niech Olę ukarze, namawiały Zosię koleżanki.

"O, proszę was bardzo, nie mówcie nic Siostrze, bo się zmartwi, że Ola była znów niegrzeczna. Zeszytom moim to już nic nie pomoże. Ola się poprawi. Prawda, Olu, że się poprawisz i nie będziesz taka postrzelona?" zapytała Zosia, zwracając się do Oli.

Ale ta nie wiedziała, co począć. Nie spodziewała się, że Zosia nietylko gniewać się nie będzie, ale ją jeszcze bronić będzie przed koleżankami. Więc stała zawstydzona, a po chwili objęła Zosię za szyję, uściskała i ucałowała, szepcąc:

"Jakaś ty dobra, Zosiu! Przebacz mi. Ja ci odkupię zeszyty."

"O dziękuję ci bardzo, ale zeszytów nie będziesz mi odkupywała. Nie zrobiłaś tego umyślnie."

Julcia przyglądała się wszystkiemu, a wróciwszy do domu, opowiedziała wszystko mamie. Wtedy mama rzekła:

"Czy wiesz już, Julciu, dlaczego Zasię wszyscy kochają?"

"Wiem," rzekła Julcia.

"Bądźże i ty usłużna dla wszystżich i chętnie przebaczaj, gdy ci kto przykrość zrobi, a zobaczysz że i ciebie wszyscy będą kochali, i Pan Jezus błogosławić ci będzie, bo sam powiedział: "Uczcie się odemnie, żem jest cichy i pokornego serca."

Odtąd Julcia starała się naśladować swoją przyjaciółkę. Prędko też zyskała sobie miłość wszystkich.

Najprawdziwszą mądrością jest stałość w postanowieniach. (Napoleon I).

* * *

Zrobienie czegoś dobrze polega na zrobieniu dokładnem.

MACIERZ POLSKA.
TYGODNIK POWIEŚCIOWO-ILLUSTROWANY
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.
wychodzi co czwartek, każdego tygodnia.

Adres redakcyi: MACIERZ POLSKA,
31 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOIS

Prenumerata roczna wynosi $1.00. — Pojedyńczy numer 3 centy lub miesięcznie 10 ct

Adres administracyi: MACIERZ POLSKA,
141-143 W. DIVISION STREET. CHICAGO, ILL.

MACIERZ POLSKA
AN ILLUSTRATED WEEKLY FOR CHILDREN AND YOUNG PEOPLE
issued at Chicago every Thursday.

Editor's address: MACIERZ POLSKA,
31 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOIS

Subscription $1.00 a year or 10 cents a month. Single copy 3 cents

Address of Business Office:
THE POLISH PUBLISHING CO.
Publishers of
MACIERZ POLSKA
141-143 WEST DIVISION STREET, CHICAGO, ILLINOIS

DO Szan. Czytelników i Czytelniczek „Macierzy Polskiej", a dawniej „Sieroty".

Donosimy niniejszem, że od Nowego Roku nasze pisemko „Sierota" przyjęło nową nazwę i odtąd stale, co tydzień dochodzić będzie Szan. Czytelników i Szan. Czytelniczek jako „Macierz Polska". Celem jej pozostanie ta sama sprawa co poprzednio a mianowicie szerzenie pośród wszystkich, zasad religijno-społecznych, patryotycznych, a szczególnie pouczanie i kształcenie młodego pokolenia, łącząc pożyteczne z rozrywką i nauką.

Cena tygodnika „Macierzy Polskiej" pozostaje ta sama jak poprzednio „Sieroty" tj. $1.00 rocznie.

Redaktorem „Macierzy Polskiej" jest Wiel. ks. Feliks Ładoń.

W nadziei, że Szan. Czytelnicy i Szan. Czytelniczki i nadal swej życzliwości naszemu pisemku nie odmówią pozostajemy

Z szacunkiem,
Administracya „Macierzy Polskiej".

Chicago, dnia 10go stycznia, 1907.

MYŚLI.

Staraj się o dobrych towarzyszy, albo lepiej nie miej żadnych. Nigdy nie próżnuj. Jeżeli nie możesz użyteczną pracą zająć rąk swoich, zajmij swój umysł dobremi myślami.

* * *

Zawsze mów prawdę. Nigdy wiele nie przyrzekaj, co obiecasz staraj się dotrzymać. Gdy mówisz do kogoś, patrz mu w oczy, a nie na stronę.

* * *

Dobry towarzysz i dobra rozmowa są największymi sprzymierzeńcami cnoty. Dobry charakter jest najważniejszą rzeczą w człowieku.

POGADANKA NAUKOWA

Sól i jej użytek.

Według B. Dyakowskiego.

Soli używamy nietylko do przyprawy potraw przy gotowaniu, ale nadto służy ona za doskanały środek do przyrządzania konserwów. Sól bowiem posiada tę własność, że rzeczy, podlegające gniciu i rozkładowi, zabezpiecza od tego. I tak mięso, ryby, które bardzo prędko gniją, dobrze nasolane przechowują się długi czas niezepsute i zdatne do użytku człowieka. Stąd czytelnicy łatwo zrozumieją dlaczego śledzie w beczkach tak są nasolone. Dzięki właśnie soli są one dobrze zachowane, inaczej zgniłyby.

Oprócz do solenia ryb i mięsa używają jeszcze soli do kwaszenia ogórków, kapusty i innych rzeczy. Następnie sól oddaje wielkie usługi w przemyśle, gdzie służy do wyrobu sody, soli glauberskiej, mydła, szkła, polewy do naczyń glinianych, jak również używają jej w garbarniach przy wyprawianiu cienkich i delikatnych skór, np. na rękawiczki, oprawy itp.

Nowożeńców przyjmują chlebem i solą.

Z tego możecie poznać, młodzi czytelnicy, jak bardzo użyteczną jest sól i jak trudno byłoby się obejść bez niej. Nie dziw więc, że ludzie bardzo cenią ten minerał. U Polaków nie mniej i u innych narodów jest zwyczaj przyjmowania gości chlebem i solą. Gdy gość zawitał do domu na wstępie zaraz

podawano mu chleb i sól; tak samo młodych państwa, wracających po ślubie z kościoła, na progu domu przyjmowano i dotąd jeszcze przyjmuje się chlebem i solą, co ma znaczyć, że kto ma w domu chleb i sól ten z głodu nie umrze, jak powiada stare polskie przysłowie; podobnie gdy jaki monarcha wjeżdżał do miasta, mieszkańcy wychodząc na jego spotkanie, w bramach miasta podawali mu na tacy chleb i sól. Zwyczaje te pokazują, jak ważną rolę w życiu naszem odgrywa sól.

Człowiekowi niemożebnemby było obejść się bez soli, podobnie jak bez wody. To też Stwórca bardzo mądrze urządził, bo jak wodę, tak samo i sól prawie na każdem miejscu można znaleść. Po wodzie sól jest najpospolitszą rzeczą na świecie; jednak nie wszędzie znajduje się w takiej ilości, aby ją można było z każdego miejsca otrzymywać.

W niektórych miejscach, szczególniej i przedewszystkiem na brzegach mórz i starych jezior jak również na stepach, które można uważać za dna wyschniętych mórz i jezior, ziemia zawiera znaczną ilość soli, często tak znaczną, że z wyjątkiem niektórych tylko roślin, żadne inne nie mogą tam rość. Takie rośliny nazywają solankowemi.

Takie słone grunta znajdują się nad morzem Kaspijskiem w Europie, dalej nad morzem Czerwonem, następnie w Australii, w północnej części Afryki oraz Ameryki południowej. W niektórych z tych miejscowości ziemia tak jest przesyconą solą, że w czasie wielkiej posuchy sól "wykwita" z niej, tz., pokrywa ziemię cienką warsteczką białego proszku, niby szronem, który znika za pojawieniem się wilgoci lub deszczu. W innych miejscach ziemia nie jest tak przesyconą solą i z trudnością daje się zauważyć.

Największymi zbiornikami soli jest wnętrze ziemi i morza.

W głębi ziemi sól, podobnie jak i węgiel kamienny, znajduje się w olbrzymich masach, tworząc niezmierne pokłady mające nieraz po kilka tysięcy stóp grubości i ciągnące się na przestrzeni kilka set mil. Sól, znajdująca się w pokładach, nosi nazwę kamiennej, ponieważ występuje w postaci wielkich brył, jak kamienie.

Wiadomo wszystkim czytelnikom, że sól łatwo rozpuszcza się w wodzie, to też Pan Bóg bardzo mądrze urządził, — zwykle bowiem nad powierzchnią pokładu soli znajduje się inny pokład gliny, która przykrywa sól i nie dopuszcza do niej wody. Wten sposób sól zabezpieczona jest od rozpuszczenia się. Gdyby nie ta gruba warstwa gliny, woda deszczowa przesiąkając przez inne warstwy ziemi z czasem rozpuściłaby sól, i człowiek nie mógłby dobywać jej tak łatwo, jak to może czynić teraz. Podziwiajcie mądrość Bożą i dziękujcie Bogu za tak doskonałe urządzenie.

PIOSNKA.

Jestem Polak mały,
Ale dziarski, śmiały;
Mam wiele ochoty
Do pracy, roboty.

Próżniactwa nie lubię,
Robotą się chlubię,
A choć praca trudzi,
Przecież mnie nie znudzi.

Cały mi świat miły,
To też krzepię siły,
By nie być leniuchem,
Ale dzielnym zuchem.

J. Chmielewski.

PRAWDZIWE ZDARZENIE.

(Ciąg dalszy).

Niedaleko od farmy był mały drewniany kościołek, pod wezwaniem Aniołów Stróżów.

Ks. Proboszcz zbierał kolektę na budowę nowego, zachęcając parafian do ofiarności na wzniesienie domu Bożego, bo to grosz nie zmarnowany, Gdy daje się na kościół, to jakby do skarbony się składa, z której czasu potrzeby Pan Bóg oddaje z procentem tem większym, im większą była ofiarność i hojność dawcy.

Wojtek umiał jako tako służyć do Mszy św.

Wujek, którego psoty i niemądre figle synowca już zmęczyły, rad był posłać go do ks. Proboszcza, aby tam choć z kwadransik posiedział spokojnie, służąc uczciwie do N. Ofiary.

Za kościołem rosły potężne lipy, a w pniu jednej widać było głęboki otwór czyli dziuplę.

Razu jednego, wczesnym porankiem, idąc do służenia, Wojtek bardzo się zainteresował tą dziuplą w drzewie.

Usłyszał brzęczenie w wewnątrz drzewa. Stanął i nasłuchiwał zdziwiony. Wtem zobaczył, jak z dziupli poczęły wylatywać z brzękiem jakieś wielkie, brunatne muchy, których nigdy jeszcze w życiu nie widział. Co to za muchy mogą być? zapytywał sam siebie. Co one tam robią, i jakby to tam dostać się do nich.

Patrzy, w kącie przed kościołem stoi wysoki kij z osadzoną u góry szczotką do omiatania pajęczyny ze ścian kościoła. Nie myśląc wiele, Wojtek łapie za to narzędzie i pakuje takowe do gniazda czmieli, mniemanych według siebie much.

Złośliwe te owady, pokryte na tułowiu brunatnem futerkiem, latając, brzęczą głośno. Gdy kogo ukąszą, to aż krew płynie, i ciało puchnie i sprawia wielki ból. To też każdy, jak może, unika ukąszenia tego zjadliwego owadu.

Gdy Wojtek wiercił szczotką w dziurze zamieszkanej przez czmieli, nagle spostrzegł wychodzącego ks. proboszcza z plebanii. Przestraszony, biegnie do zakrystyi, a szczotkę stawia podchórem w kościele.

Zaczęła się cicha Msza św.

W kościele, że to dzień powszedni, mało było ludzi.

Cichy szmer modlitwy słychać w świątyni, czasem doleci ucha to głośniejsze westchnienie, to szelest odwracanej kartki z książki do nabożeństwa.

Wtem przy Prefacyi pod chórem daje się słyszeć głośne brzęczenie, i najpierw jeden, potem drugi czmiel wylatuje na kościół.

Wojtek dzwoni na Sanctus, a przychyliwszy się, spoziera ze strachem na latających i nieproszonych gości.

Coraz ich więcej; krążą około głów modlących się; brzęczą coraz głośniej.

Przestraszone niewiasty odpędzają chustecz-kami; książkami zakrywają twarze, boć nie miło jest mieć spuchnięty policzek, a w dodatku ból dotkliwy.

Z tego naturalnie powstał szum, zamieszanie: przestano się modlić; dziewcząt kilka, jako mniej odważnej natury, uciekło z kościoła, unikając niemiłego wroga ich twarzyczek i nosków zadartych.

Czmiele, ratując swe życie, powłaziły do miękkiej szczotki, a teraz oprzytomniałe, jeden za drugim opuszczają czasowe i przymusowe to mieszkanie i, brzęcząc, latają po kościele.

Nikt nie mógł dowiedzieć się, skąd czmiele znalazły się w kościele. Wojtek nie będąc szlachetnym, nie poczuwał się do obowiązku przyznania. Owszem, zapytany przez podejrzywającego go o to proboszcza, skłamał, mówiąc, że czmiele zapewne powlatywały do kościoła przez okna i drzwi, które były otwarte.

Wojtek prędko dokuczył ks. proboszczowi i został odesłany do wuja.

Wakacye się kończyły; wujek odesłał chłopca rodzicom.

Rozpoczęła się szkoła.

Wojtek nie pamiętał na to, że rodzice ciężko muszą pracować, aby mogli go wyżywić, ubrać i opłacić szkołę; w domu i w szkole knąbrny i nie posłuszny, uczył się źle.

Przyzwyczajony dogadzać swym zachciankom tracił na cukierki pieniądze, przeznaczone na zeszyty, ołówki lub pióra. Wobec tego nie posiadał też ani pióra, ani porządnego zeszytu, ani ołówka.

Gdy przyszedł do szkoły, to zawsze brakowało mu jakiegoś przyboru. Zapytany przez siostrę, dlaczego niema zeszytu, lub ołówka, kłamał, odpowiadając, że ojciec nie chce dać centów. Był on prawdziwie egipską plagą dla nauczycielki, niemniej jak i dla swoich towarzyszy, którzy nie lubieli Wojtka i ze względu, że zawsze był źle umyty, brudny na lekcyi nieuważny, nie chcieli z nim siedzieć. Nie mogąc zyskać dobrych, wdał się ze złymi towarzyszami. Ci najprzód nauczyli Wojtka palić tytoń. Pierwszą lekcyę odpokutował bólem głowy i żołądka, lecz, nie chąc się okazać „gorszym" od swoich towarzyszy, gwałtem zmuszał się do palenia. Tytoń i cygara brał ojcu; gdy ojciec to spostrzegł i ukarał go, postanowił w inny sposób przyjść do nich.

Do sąsiedniej fabryki jednotorowa kolej dowoziła węgiel. Gdy pociąg na zakręcie zwalniał biegu, wtedy zuchwały Wojtek niby dla zabawy wskakiwał na wagon, zrzucał kilka kawałów węgla, które sprzedawał, a za zyskane centy kupował upragnione papierosy.

Wiedział on z nauki katechizmu, że, grzeszy podwójnie: kradzieżą i lekkomyślnem narażeniem się na niebezpieczeństwo albo śmierci, albo kalectwa. Nie wieli jednak sobie z tego robił. O tem zaś, że człowiek powinien tak żyć, aby życiem swojem przyniósł pożytek nietylko sobie, ale i innym, wcale nie chciał myśleć.

Dnia jednego Wojtek, zamiast do szkoły, jak matka wysłała, schował książki pod pudłem do śmieci, a sam poszedł na kolej i czekał przed skrętem na nadejście pociągu.

O zwykej godzinie nadjechał pociąg; lokomotywa sapiąc, fucząc i wyrzucając kłęby pary, zmieszanej z dymem, ciągnęła długi szereg wozów, napełnionych węglem.

Wojtek, rozzuchwalony udaną nieraz próbą, i tą razą, gdy już prawie połowa wagonów przeszła, skoczył na jeden z mijących go. W tej chwili rozległ się straszny, przerażający krzyk... Na krzyk ten zbiegli się ludzie. Oczom ich przedstawił się okropny widok: obok toru leżał Wojtek zemdlony z potrzaskaną ręką i odciętą niżej kolana prawą nogą...

S. Helena, C. R.

DWIE POTĘGI.

POWIEŚĆ Z CZASÓW DYOKLECYANA.

Przez Teresę Jadwigę.

(Ciąg dalszy).

Marcelin uśmiechnął się przyjaźnie.

— Śniłem, że zmęczony spocząłem pod cieniem dębu i zadumałem się o przyszłości. Wtem Jowisz stanął przedemną i włożył mi koronę na głowę.

— Dzielny i mądry Virinus nietylko swoich miłość posiada, cały Rzym mówi, że z pomiędzy czterech rządzców państwa, on najgodniejszym

jest tronu cezarów — rzekł Alcybiades. — Na Dyoklecyana lud szemrać poczyna, że sprzyja chrześcijanom, że igrzysk nie urządza.

Przyszłość to tajemnica bogów, ze śmiertelnych nikt zgadnąć nie może, czyje czoło lud zechce z czasem ozdobić koroną.

— Nie gub jego duszy — napomniał szorstko Stabor — czyż może być co niebezpieczniejszego, jak marzenia niedościgłe. Wrogiem jesteś Marcelina.

Młodzieniec zeskoczył z łóżka.

—To mój przyjaciel — rzekł wyniośle i objął za szyję Alcybiadesa.

Oczy Greka zabłysły tryumfem.

— Przyjaciel szczery ma tylko dobro nasze na celu, nigdy swoje — rzekł spokojnie Stabor — kto schlebia panu swemu, ten właśne dobro ma na celu. Przyjaciel szczery gotów siebie zgubić, aby jeno nas ocalić.

— Prawdy twoje poczynają mnie nudzić — mruknął gniewnym tonem Marcelin — i gdyby nie to, że nie mogę znaleźć zręczniejszego od ciebie myśliwego, dawno usunąłbym cię z oczu moich.

— Bogowie widocznie sprzyjają ci, gdy zastępcy znaleźć nie możesz — odparł spokojnie Stabor. — Południe teraz, upał; innej rozrywki użyć niepodobna nad rozmowę lub czytanie, wezmę którego z mędrców greckich i pożytecznie czas spędzimy. Gdy słońce zajdzie, pokrzepiony duch da nam dobre myśli i urządzimy wesołą wycieczkę.

Marcelin westchnął.

— Podaj Platona! — rozkazał — lubię tego autora.

— I ja również — odparł Stabor.

Poczem sięgnął na półkę, na której leżało kilka ksiąg.

Grek rzucił mu gniewne spojrzenie.

— Ckliwy Plato, marzyciel, tworzy niedołęgów którzy życia nie umieją używać—mruknął — wolę Epikura, ten nie zwodzi złudnymi obietnicami.

Stabor nawet nie spojrzał na niego, udał, że nie słyszy. Siadł na miękkiej sofce, stojącej pod jedną ze ścian, i począł czytać dźwięcznym głosem.

Marcelin zajął obok niego miejsce.

— Czy mam gniazdo wyrzucić? — zapytał z gniewem Alcybiades.

Panicz odgadł, że miota nim zazdrość i uśmiechnął się.

— Nakarmij pisklęta i umieść je na którem z drzew w ogrodzie. Pod twoją opiekę gniazdo oddaję — odparł — bacz też, aby pisklętom co złego się nie stało, niech na orły powyrastają. Gdy sen mój spełni się, żywy orzeł będzie mnie wówczas na boje prowadził. No, czytaj dalej! — dodał zwróciwszy się do Stabora.

Stabor usłuchał wezwania, a Grek oddalił się zagniewany.

Mor, stanąwszy za panem, począł go chłodzić wachlarzem.

— Czyżby nie kazał mu oddalić się, ta niewolnicza czynność tego człowieka tak nie zgodną jest z tem co czytamy — mówił Stabor.

— Odejdź! —rzekł Marcelin — i ty także — dodał, zwróciwszy się do Tyra, który oparłszy głowę na cytrze, czekał, czy nie każą na nowo przebiegać palcami po jej strunach.

— Pozwól mu zostać, on uważnie słucha. czytam to z oczu jego — rzekł Stabor.

— Tłómaczysz mi zawsze chętnie najrozmaitsze tajemnice, wytłómacz jeszcze jedną — rzekł Marcelin. — Powiedz mi, czemu ja twoim życzeniom nie umiem nigdy oporu stawić. Kocham stokroć więcej od ciebie Alcybiadesa, przyjacielem go swoim dziś nazwałem, przecież on mi ulegać musi, on w stosunku do mnie niewolnikiem nadal pozostał, a tobie ja ulegam. Choć się buntuję chwilami, ulegam jednak.

Stabor uśmiechnął się.

— Czyś ty nie słyszał że chory przyjmuje często z ochotą najwstrętniejsze lekarstwa? — zapytał po chwili namysłu. Rozumie on, czuje że lekarstwo wróci mu zdrowie, więc pije je chciwie. Toż samo dzieje się z twoją duszą.

— Więc dusza moja chora?

— Chora,

— I ty ją leczysz?

— Leczę.

— A lekami twoimi są gorzkie słowa?

— Tak.

— Na cóż dusza moja chora?

— Utonęła w miłości własnej.

— I ty ją z tego chcesz wyleczyć?

— Chcę, muszę wyleczyć! Pragnę ja, abyś więcej od siebie ukochał naturę cię otaczającą, piękno. dobro, prawdę, rozum i wiele innych rzeczy. Chcę abyś ty z czasem był wyrazem mądrości, dobroci i sprawiedliwości, o, czego ja nie pragnę dla ciebie!

— Czyżbyś mnie kochał? — zapytał Marcelin.

Zamiast odpowiedzieć Stabor począł opowiadać.

— Jeszcze mi żywo stoi w pamięci ów dzień, w którym szlachetny Virinus przyprowadził mnie tutaj w tłumie niewolników. Jam był najsłabszym ze wszystkich, bo najmłodszym; słudzy Virinusa potrącali mnie iszydzili. Tyś to psostrzegł, ująłeś mnie za rękę i do ojca przyprowadziłeś. „Pozwól mu być moim sługą" — rzekłeś. — A gdy ojciec się zgodził zabrałeś mnie do swej sypialni. „Połóż się na skórze lamparciej — rzekłeś — zaśnij! Nie lękaj się, nie pozwolę ci dokuczać." I dotrzymałeś słowa.

Zostałem twoim niewolnikiem, lecz przez całe lat pięć nie wiedziałem, że jestem w niewoli. Na two-

je żądanie roku zeszłego Virinus oswobodził mnie, na twe żądanie pozwolił mi uczyć się razem z tobą. Poprzysiągłem ci wdzięczność do grobu. Któż wyrwanemu okrutnie z grona rodziny brata zastąpił? Ty, Marcelinie. Kto w niedoli najwyższej serce mi ukazał? Ty również. Komu światło rozumu zawdzięczam? Tobie.

— Powiedz mi co o twojej przeszłości — przerwał mu Marcelin — wiem, że Mor jest synem pokonanego wodza Etyopów, że Tyra ojciec kapłanem był żydowskim, Alcybiades ród swój wywodzi od sławnego wodza i władcy, pod którego rządami kwitły Ateny. Ty jeden milczysz zawsze o sobie.

— Mój ród nie jest wysoki — odparł Stabor.

— Mieszkałem w smutnej krainie, którą zima życia pozbawia i otula białym całunem, alem ja kochał tę ziemię i nizką drewnianą chatę naszą. Ojciec mój, najstarszy z rodu, władzę najwyższą w siole dzierżył, lecz gdy wojna groziła, składał władzę w ręce najdzielniejszego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

"OJCZE NASZ".

Posępne, smutne były to ściany,
W okna leniwie dzień blady świeci
Niepewny, chmurny i tak znękany,
Że zda się z szarych murów uleci
I kirem mroków osłoni słońce,
By nie dojrzało tej garstki dzieci,
Stulonej w izby wilgotnej kącie.
A cicho było i tak cmentarno,
Żebyś w tym mroku nie odgadł łatwo
W szeregach ławek barwnionych czarno,
Że się z najmłodszą potykasz dziatwą.
Jeno bezbrzeżny ten lęk dziecięcy
Skarżył się biciem serduszek Bogu,
I jasnych oczął wzrok łzą jarzący,
Tajonym strachem padł u drzwi progu.
Wklasie prócz dziatwy nikogo więcej.
W tem drzwi szarpnięto — i wszedł oprawca,
Miarowym krokiem izbę przemierza,
Dziatwa powstała i cnót wszechznawca,
Pedagog pruski — dał znak pacierza.
Cisza! — Znak wtóry! — Lecz milczą usta,
Zda się na moment czas zamarł w biegu;
Dzieciątko każde blade jak chusta.
Pedagog spojrzał — i pierwszą z brzegu
Dzieweczkę szarpie z dziatwy szeregu:
"Mów pacierz!" — krzyczy i sam zaczyna:
"Mów! Vater unser" — milczy dziecina,
Po liczku jeno pereł sznur leci;
I nie ozwało się żadne z dzieci!
A chwila była takowej ciszy,
Że lodem w piersi oddech się ścina,
I krwi się w żyłach da tętno słyszy,
Chwila — i Prusak już pomstą dyszy,
Złowrogim świstem opada trzcina.
Już rączka dziecka opuchła, sina...
Grad razów spada, na ślepo leci,
Aż krwawą pręgą liczko przecina,
I krwi szkarłatem skroń bladą kwieci.
— Jak martwa padła biedna dziecina.
I oto w chłosty męczeńskiej wtór
Padł skargą z nagła pacierzy chór:
„Ojcze nasz, któryś nad nami w niebie"
"Ojcze nasz" mowy rodzinnej dźwiękiem
Przyczystym, świętym, wołamy Ciebie
"Ojcze nasz", z dziatwy ust płynie jękiem
I mocą smaga oprawcy twarz
Spłakane polskie to "Ojcze nasz!"

Adam Siedlecki.

Rozwiązanie zagadki z No. 1.

A
ĆMA
KRETA
AMERYKA
GRYKA
AKR
A

ZAGADKA.

*
* *
* * * * *
* *
*

Wyrażeń 5. Rzędy pionowy i poziomy, oznaczone gwiazdkami dają imię króla znanego z Biblii. Znaczenie wyrazów: 1) spółgłoska; 2) roślina; 3) służy do zatykania butelek; 4) otrzymuje się z jagód; 5) spółgłoska.

Zadanie do opracowania.

Kiedy i który monarcha otrzymał przydomek „Króla chłopków?"

Najlepszą odpowiedź wydrukujemy z podpisem jej autora czy autorki. Odpowiedzi należy nadesłać do Redakcyi „Macierzy" najpóźniej we wtorek.

Jak to można rozumieć?

Ma-li-ny- w ko-szu.
Ja-nie-mo-gę jeść.
Do-da-my mó-wi-li.